

KAPUCYNI ⁱ MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej ISSN 1642-8897, rok 2017, nr specjalny



*„Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba.
Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki.
Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata”*

(J 6, 51)



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!



Pragniemy Wam podarować ten wakacyjny numer naszego biuletynu, abyście trochę więcej dowiedzieli się o naszych misjach kapucyńskich.

Od trzydziestu trzech lat pracujemy w Republice Środkowoafrykańskiej i od dwudziestu w Czadzie. Kraje te sąsiadują ze sobą, mają wspólną walutę i ten sam język urzędowy, język francuski. Pomimo bliskości terytorialnej plemiona zamieszkujące te dwa kraje bardzo różnią się od siebie kulturowo i społecznie.

Czad powoli rozwija się inwestując pieniądze z ropy, którą amerykański koncern naftowy Exxon rozpoczął wydobywać w 2003 r.

Natomiast RŚA od 2013 r. pogrążyła się w bezsensownej wojnie domowej. Z tej okazji skorzystały też grupy rebelianckie z Czadu i Sudanu, wchodząc na teren RŚA, zabijając i grabiąc ludność. To tu, to tam, co pewien czas wybuchają walki między muzułmańskimi bandami seleka i tubylcami spod znaku anty-balaka. Do końca nie wiadomo o co im chodzi, a jeśli nie wiadomo, to chodzi o pieniądze, głównie z surowców naturalnych (przede wszystkim drewna) i mineralnych (złota, diamentów, uranu i innych). Te potyczki są też formą zemsty za kradzieże krów oraz formą podporządkowania sobie małych terenów do sprawowania nad nimi kontroli, wyłudzenia myta od podróżujących drogami, itp.

W tym kraju bezprawia i całkowitego chaosu rządowo-militarnego pracuje wielu misjonarzy z różnych krajów. Pośród nich jest siedmiu naszych braci kapucynów, którzy pracują w północno - zachodniej części kraju, w diecezji Bouar. Jedynie br. Andrzej Barszcz znajduje się we wspólnocie w stolicy kraju, Bangi. W ostatnich pięciu miesiącach bracia z Bocaranga i Ngaoundaye przeżyli traumę zbrojnych napadów na ich miejscowości i domy misyjne. 2 lutego miało miejsce smutne wydarzenie w Bocaranga. O świcie grupa około 60-ciu uzbrojonych osób zaatakowała miasteczko. Niszczyli sklepiki i palili domy. W walce zginęło 18 osób, głównie mężczyźni i starcy. Reszta, głównie kobiety i dzieci w pośpiechu uciekli w pola. Bandyci weszli też na teren misji żądając pieniędzy, komputerów, telefonów, motorów, samochodów. Bratu Robertowi Wnukowi wyrócili pokój do góry nogami i coś tam znaleźli. Odjechali misyjnym motocyklem. „Po ich odjeździe zaległa cisza w mieście i na misji, serce tylko jeszcze dudniło. Wieczorem słychać było szloch i płacz ludności Bocaranga opłakującej swoje dzieci” - wspomina br. Robert.

Na początku kwietnia martwiliśmy się o bezpieczeństwo naszych braci i siostr z Ngaoundaye. We wtorek rano, 4 kwietnia, uzbrojeni bandyci z ugrupowań seleka

wkroczyli do miasteczka. Siłą weszli na misję żądając jak zwykle pieniędzy i telefonów. Szantażowali, że zabiją naszego czarnego brata jeśli nie otrzymają pieniędzy. Brat Piotr Michalik, przełożony domu musiał wyciągnąć schowane pieniądze i dać bandytom. Po przybyciu z Bocaranga żołnierzy międzynarodowych sił pokojowych MINUSCA, bandyci opuścili miasteczko. Jednak nie oddali tego, co zabrali misjonarzom, a obawy ich powrotu są cały czas realne.

W uroczystość Zesłania Ducha Świętego br. Piotr zaproponował innym wyznaniom chrześcijańskim eku-meniczną modlitwę o pokój. Była to pierwsza, na taką skalę, w historii tej miejscowości modlitwa różnych wyznań chrześcijańskich. Jak podkreślał br. Piotr: „Trzeba robić co w naszej mocy, aby pokój powrócił do naszego kraju. Nic nie zmieni beczynne siedzenie i płkanie nad obecną trudną sytuacją”.



Od lewej: br. Piotr Walocha, br. Tomasz Światała, br. Artur Ziarek, br. Paweł Kubiak, br. Zenon Kapka

W tym roku, na pierwszy swój urlop z Czadu, przyjechał br. Paweł Kubiak (jego zdjęcie na okładce). Dołączyli do niego bracia: Zenon Kapka i Piotr Walocha. Z RŚA przyjechali bracia: Jacek Dębski, Andrzej Barszcz i Benedykt Pączka, aby odpocząć, odetchnąć od wojny, podreperować swoje zdrowie i odwiedzić rodziny i znajomych. Podczas wakacji czynnie włączają się w animację misyjną w różnych parafiach.

Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele misji kapucyńskich serdecznie Was pozdrawiam. Dziękuję za wszelkie dobro nam okazane i proszę o modlitwę za misjonarzy i o pokój, tam gdzie toczą się wojny.

Szczęść Boże

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Radio **Siriri** głosi pokój

pisze br. Benedykt Pączka OFMCap, dyrektor rozgłośni radiowej



Republika Środkowoafrykańska to średniej wielkości kraj (623 km²) w środku kontynentu afrykańskiego, o populacji 4,6 miliona ludzi. Porównując z Polską, RŚA jest dwa razy większa od naszego państwa, a żyje tam prawie dziesięć razy mniej ludzi. Jest to jeden z najuboższych krajów świata (według oficjalnych statystyk średnie roczne wynagrodzenie osoby pracującej to 230 dolarów). Pomimo że kraj posiada bogactwa naturalne, jest słabo rozwiniętym krajem rolniczym, gdzie 70% społeczeństwa utrzymuje się z uprawy roli i leśnictwa. Średnia długość życia to 50 lat.

Radio w tym kraju jest najpopularniejszym i najbardziej efektywnym rodzajem medium. Prawie połowa gospodarstw domowych dysponuje odbiornikiem radiowym. Jedynie około 3,4% populacji, czyli 161 tys. mieszkańców, korzysta z internetu, głównie w Bangui – stolicy kraju. Na 100 mieszkańców przypada tylko 18 telefonów komórkowych. Zasięg kolportowanej prasy jest ograniczony ze względu na niski poziom alfabetyzacji i brak systemów dystrybucji poza większymi miastami. Jedynie 8% społeczeństwa (tylko ci, którzy mieszkają w stolicy) ma dostęp do elektryczności, a odbiornik TV posiada jedynie połowa z nich. Przekazy radiowe są zatem najlepszym sposobem dotarcia do ludności w RŚA, szczególnie poza stolicą i w dalszych rejonach kraju.

Radio Siriri (w lokalnym języku sango słowo to oznacza „pokój”) to radio diecezji Bouar, jednej z największych diecezji w RŚA. Swoją emisję radiową kieruje do wszystkich odbiorców, bez względu na poglądy polityczne czy wiarę. Radio nadaje audycje każdego dnia od 8:00 do 12:00 oraz od 17:00 do 21:00 na częstotliwości 103,6 FM. Zatrudnia 5 stałych pracowników i 8 wolontariuszy. Codziennie rano dziennikarze spotykają się na kolegium redakcyjnym, ustalając poszczególne zajęcia bieżącego dnia oraz plany na kolejne dni.

To, co jest ważne dla Radia Siriri, to głoszenie Ewangelii oraz przekazywanie ludziom informacji bieżących. Są to sprawy Kościoła, świata, RŚA oraz społeczności lokalnej. Codziennie podawane są wiadomości z Watykanu, z życia Kościoła, a także informacje o wszystkim, co dotyczy naszej wiary w Jezusa. Jest to największy przekaz ewangelizacyjny w kraju, bo dociera do bardzo dużej grupy ludzi, żyjących nawet w małych wioskach. Aktualnie radio nadaje w promieniu 120 km od stacji w Bouar, gdzie znajdują się dwie anteny nadawcze. Radio korzysta również z anteny nadawczej w Bocaranga. Dzięki temu ponad 96 tys. mieszkańców regionu (w tym 40 tys. zamieszkujących miasto Bouar) oraz uchodźcy z RŚA przebywający w Kamerunie mają dostęp do aktualnych

informacji. Podczas ostatniej rebelii, która wybuchła w Republice w 2013 r., a która z różnym nasileniem trwa do dziś, dziennikarze bez strachu, choć z narażeniem życia, przekazywali informacje o atakach rebeliantów i zagrożeniu bezpieczeństwa, które ratowały ludność cywilną. Wielokrotnie ludzie zostali ostrzeżeni przed nadjeżdżającymi rebeliantami i zdołali ukryć się w buszu. Gdyby nie informacje przekazywane przez radio, wiele osób mogłoby stracić życie. Aby ludność miejscowa czuła się bezpiecznie w rejonach, gdzie ciągle sytuacja polityczna jest niestabilna, konieczne jest rozszerzenie zasięgu radia.



W najbliższym czasie moje działania jako dyrektora Radia Siriri będą się koncentrowały na uruchomieniu dwóch anten, które działały 15 lat temu. Pierwszą antenę chcemy zamontować w miejscowości Bong, położonej w odległości 65 km od naszego studia w Bouar. Chcemy postawić w wiosce konstrukcję metalową, około trzynastometrową, na której zainstalujemy przekaźnik radiowy wraz z całą aparaturą. Do tego będziemy potrzebowali instalację energetyczną, która zapewni działanie tych urządzeń. W naszym przypadku najlepszym rozwiązaniem jest zaopatrzenie anteny w instalację czerpiącą energię słoneczną.

W Bocaranga chcemy uruchomić urządzenia już dawno zainstalowane. Stoi tam maszt około trzydziestometrowej wysokości, który czeka tylko, aby zainstalować na nim przekaźniki. Do tego również potrzebujemy słoneczno-elektrycznej instalacji zasilającej oraz urządzeń, które zapewnią przesłanie danych do Ndim, Ngoundaye, Mbaiboum, aż do granicy z Kamerunem.

Tych, którzy chcą wesprzeć nasze dzieło ewangelizacji, zapraszam do współpracy. Wszystkim naszym dobrodziejom, którzy śledzą moje działania i działania moich współpracowników misjonarzy w RŚA i Czadzie, składam serdeczne podziękowania. Niech dobry Bóg prowadzi nas wszystkich w tym, do czego nas posyła.

br. Benedykt Pączka OFMCap



Arka Noego – schronieniem dla uchodźców w RŚA

pisze br. Andrzej Barszcz OFM Cap



O d dłuższego czasu nasz sekretarz misyjny w Polsce prosi mnie o przedstawienie sytuacji, jaka panuje w stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej i na naszej misji w Bimbo na przedmieściach stolicy Bangui. Jestem tutaj już prawie rok, a mimo to trudno jest mi się odnaleźć w zamęcie tutejszej wojny domowej. Wojna zaczęła się w 2013 roku i do dzisiaj ¾ kraju jest pod wpływami rebeliantów.

Kiedy przyjechałem do Bimbo, miasta graniczącego ze stolicą Bangui, na naszej misji zastałem grupę prawie czterdziestu rodzin, która znalazła u nas schronienie po licznych atakach rebeliantów muzułmańskich z ugrupowania seleka, którzy zbrojnie przejęli władzę w kraju. Zdecydowana większość z tych rodzin zamieszkiwała w stolicy okolicie osiedla muzułmańskiego, zwanego potocznie „piątym kilometrem”. Obszar ten do dzisiaj naznaczony jest specyficzną pustką, zgłiszczami zabudowań, które kiedyś tętniły życiem. Tam znajdowało się największe targowisko w stolicy. Większość rodzin uchodźców schroniła się na naszej misji w połowie grudnia 2013 r., kiedy kraj został napadnięty, rozgrabiony, zmasakrowany, a ludność napiętnowana przez akty przemocy. Początkowo owych uchodźców było u nas około tysiąca. Pozajmowali nasze sale duszpasterskie

i kaplice. Na terenie misji rozłożyli namioty z plandek. W środku takiego długiego namiotu rodziny były poprzegradzane tylko prowizorycznymi parawanami. Panował ciągły zaduch, ciasnota, wilgoć. Szybko pojawiły się też szczury, pchły i to wszystko, co towarzyszy człowiekowi podczas życia obozowego. Na misji wszędzie było pełno ludzi. Niektórzy uchodźcy po ustaniu walk i przejściu fali agresji próbowali powrócić do swoich domów. Niektórzy zdecydowali się opuścić stolicę i zamieszkać na prowincji, która wydawała się bezpieczniejsza. Ci, którzy pozostali na misji, nie mieli dokąd wracać, stracili wszystko, co posiadali, i czekali, co los im przyniesie. Kiedy czytałem Orędzie Papieża Franciszka na Święta Bożego Narodzenia 2016, poruszył mnie fragment mówiący o dzieciach, które spędzają te święta w namiotach, bazach dla uchodźców. Tak jak nasze afrykańskie dzieci w Bimbo i wielu innych parafiach i obozach w RŚA. Ich czas niewinności został naznaczony wojną i cierpieniem.

Obecnie sytuacja uchodźców nieco się zmieniła. Znalaziono prowizoryczne rozwiązanie. Z pomocą przyszła chrześcijańska organizacja Caritas, działająca w Republice Środkowoafrykańskiej, która współpracuje z tutejszą Nuncjaturą Apostolską. Każda z rodzin, w zależności od liczby tworzących ją osób, otrzymała





(w przeliczeniu z F CFA) około 200-300 euro na nowe miejsce do mieszkania. Zaraz po Świętach Wielkanocnych zaczęli szukać nowych domów lub dołączyli do rodzin zamieszkujących okolice Bangui. Mimo że przez cały czas mieszkali w bardzo prowizorycznych warunkach, dzieciaki tak się przyzwyczaiły, że nie chciały opuszczać naszej misji. Miały też tutaj prawie codziennie dodatkowe zajęcia szkolne. Obecnie nie ma już nikogo z przesiedleńców, którzy spędzili u nas prawie cztery lata! Jednak pozostało po nich coś intrygującego, coś, co przyciąga uwagę każdego, kto przyjeżdża na naszą misję.



Wizyta papieża Franciszka w RŚA w 2015 r. miała wielkie znaczenie dla Kościoła. Papież otworzył drzwi Jubileuszowego Roku Miłosierdzia, a dla tutejszej ludności były to drzwi do nadziei, drzwi, za którymi spodziewali się odnaleźć pokój. Jeden z przesiedleńców po wizycie Ojca Świętego zaczął budować arkę na wzór Arki Noego. Konstrukcja przypominała rybę, a ściany zewnętrzne zostały przyozdobione przeróżnymi obrazami, symbolami i napisami. Twórcą był 40-letni Środkowoafrykańczyk o imieniu Germanin, który w sposób wręcz natchniony odkrył i przekazał ideę budowy tej symbolicznej, mitycznej łodzi. Arka Noego – miejsce ucieczki, schronienia, przetrwania, znak Bożej Opatrzności... Jest to też przekaz symboliczny, gdyż każdy z nas potrzebuje takiej Arki Noego, nawet kiedy nie ma wojny czy zamachów terrorystycznych. Nasza misja w Bimbo przez prawie cztery lata pełniła funkcję Arki. W czasie zagrożenia nasze misje stawały się i dalej są miejscami schronienia dla ludności, która ucieka przed agresorami. Tutaj obok kaplicy, w miejscu naznaczonym obecnością Boga, wspomniane 40 rodzin przeżyło najtrudniejszy czas zagrożenia i wojny. Opuszczając naszą misję wszyscy uchodźcy dziękowali, że znaleźli u nas schronienie – taką Arkę Noego, gdzie sam Bóg się o nich zatroszczył.

Teraz wracamy do codzienności, jednak doświadczenie ostatniego „potopu rebeliantów seleki” jest nadal jak otwarta rana, która jest trudna do zabliznienia. Dość często mówi się o przebaczeniu, ale tego nie da się zrobić na zawołanie, bo tak trzeba, albo z powodów ewangelicznych. Tutejsi ludzie mawiają, że kiedy rozleje się

woda, to szybko wsiąka w ziemię, jednak rozlana krew długo pozostaje na powierzchni. Myślę, że każdy z nas, misjonarzy, zmienił się, towarzysząc tutejszym ludziom w czasie wojny i dzieląc z nimi cierpienie i trudne doświadczenia. O wiele trudniej jest być prorokiem, kapłanem wśród ludzi dotkniętych przez demona wojny. Życie jednak toczy się dalej i trzeba mieć nadzieję!

W mojej codziennej posłudze w Bimbo zajmuję się głównie pracą z młodzieżą. Regularnie spotykam się z grupą ponad dwudziestu aspirantów, którzy poprzez zajęcia formacyjne i osobisty rozwój duchowy odkrywają swoje powołanie w Kościele. Nasza misja nie jest parafią, ale mamy codziennie sporo dzieci i młodzieży, która przychodzi do nas na różne zajęcia. Nasz dom misyjny otoczony jest dużym ogrodem – można nawet powiedzieć: parkiem – w którym mogą spędzać swój wolny czas i pomodlić się. W ogrodzie prowadzimy zajęcia z chórzystami oraz douczanie dzieci.

Chciałbym przesłać serdeczne podziękowania wszystkim, którzy dzięki naszemu Sekretariatowi Misyjnemu i Fundacji Kapucyni i Misje wspierają naszą obecność misyjną w Afryce. Szczególne podziękowania ślę dla naszych przyjaciół z Frydrychowic, Kalwarii Zebrzydowskiej, Oleśnicy, Wrocławia... i tych wszystkich, którzy wzięli udział w akcji „Pączek dla Afryki”. Otrzymaliśmy już środki materialne na doksztalcanie dzieci i młodzieży. Obdarowaliśmy dzieciaki pomocami szkolnymi, które dotarły w kontenerze drogą morską. Były też, ku wielkiej uciechy wszystkich, różne słodkości, piłki, ubrania... To była taka symboliczna, zielona gałązka oliwna przyniesiona w dziobie synogarlicy prosto do Arki Noego. Obecnie dzieci i młodzież mają wakacje, ale na naszej misji jakoś tego nie widać, ciągle jest tłoczno. Codziennie nasza Arka Noego jest czynna i otwarta dla tych którzy przychodzą, aby wspólnie trwać w bliskości z Bogiem.



Bardzo serdecznie pozdrawiam i może z niektórymi spotkam się już niedługo w czasie mojego urlopu.

br. Andrzej Barszcz OFMCap



„Kulawe” braterstwo

pisze br. Robert Wieczorek OFM Cap



Mamy w Czadzie takiego ciekawego brata. Najstarszy spośród resztki misjonarzy Francuzów – Michel Gimbaud. Ma 86 lat, do Afryki przyjechał w 1957, czyli przed sześćdziesięciu laty! Może nie aż tak dawno, żeby miał tu zastać dinozaury, ale na pewno w innej epoce – gdy Czad był jeszcze kolonią Chari należącą do Francuskiej Afryki Równikowej.

Specyficzna była też zresztą jego droga. Przybył tu jako wolontariusz do pracy w misyjnej stolarni. Był wówczas młodym członkiem Trzeciego Zakonu Franciszkańskiego. Po paru latach poprosił kapucynów, by przyjęli go w swoje szeregi. I w ten sposób przeniósł się z Trzeciego do Pierwszego Zakonu. A w latach osiemdziesiątych, gdy już był starszawym bratem zakonnym, odkrył w sobie powołanie kapłańskie i po paru latach formacji w Szwajcarii został wyświęcony. Stąd też mówi o sobie z przekąsem, że jest „młodym” kapłanem.

Ten to brat Michel zapisał się na trwałe w historii misji katolickich na południu Czadu jako człowiek obdarzony zdolnościami organizacyjnymi i wielkim talentem do finansów. Niejeden biskup korzystał z jego pomocy w wprowadzeniu na prostą „zakurzonej” rachunkowości. Wśród samych kapucynów uznawany jest za fundament w organizowaniu wsparcia finansowego, bez którego trudne byłoby funkcjonowanie całej Kustodii Czad – RŚA. A wśród swych rówieśników urósł do rangi mistrza informatyki (umiejętność pracy na komputerze wśród ludzi urodzonych w latach trzydziestych ubiegłego wieku wcale nie jest powszechna).



Od lewej: br. Michel Gimbaud, br. Jacek Waligóra

Ale najważniejszym dziełem jego życia jest Dom Matki Bożej Pokoju (francuski skrót MNDP), czyli szpital dla osób niepełnosprawnych dotkniętych kalectwem kończyn. Gdy spytać brata Michela o początki, mówi: „Pierwsza konsultacja odbyła się na stacji misyjnej w Batchoro. Był u nas przejazdem francuski lekarz – ortopeda. Żeby mógł zbadać niepełnosprawne dziecko, położyliśmy je na stole... w jadalni. I tak się zaczęło”. Był rok 1979.

Od początku dzieło swe brat Michel zawierzył Maryi. Powtarza, że to Jej dzieło. A ponieważ Republika Czadu w tamtych latach wstrząsały przewroty wojskowe i wojna domowa, wzywał ją pod imieniem Matki Pokoju. Wspomina, że w latach dziewięćdziesiątych był na pielgrzymce w Medjugorje i ta wizyta głęboko nim wstrząsnęła. Przeżył „nawrócenie w nawróceniu”. Tam na własne oczy zobaczył owoce opieki Matki Bożej Pokoju. Ochrona Jej świętego Małżonka, Józefa, jest dla niego ewidentna.

Michel, człowiek zarządzający pieniędzmi kliniki i spędzający godziny pracy przed „wszystko wiedzącym” komputerem, nie traci właściwej perspektywy. Przed oczami ma jasną wizję wydarzeń rozgrywających się w sferze wiary w Bożą Opatrzność, która czuwa nad swymi dziełami.

Na początku chodziło o pomoc osobie niepełnosprawnej, by mogła wstać z ziemi, podnieść się z oparcia na czterech kończynach i przyjąć postawę wertykalną przy pomocy kul czy aparatów ortopedycznych. Po paru latach zaistniała możliwość przeprowadzania operacji, gdy klinika zaczęła się rozwijać, a jej dobra sława przyciągała uwagę osób kompetentnych i możnych.

Michel z ogromną cierpliwością konsekwentnie organizował struktury na miejscu w Moundou, największym mieście południa Czadu, równocześnie szukając sponsorów i przyjaciół w Europie, by zapewnić zaplecze finansowe rozwijającej się instytucji. Liczby same mówią za siebie: w 1979 roku przeprowadzono 37 konsultacji. Na początku lat osiemdziesiątych było ich po 150 rocznie, a to owocowało 30 operacjami. W lata dziewięćdziesiąte MNDP wszedł ze średnią 600 konsultacji na rok i 70 wykonanymi operacjami. Po roku 2000 liczba konsultowanych w ciągu roku przekracza tysiąc osób, by osiągnąć na dzisiaj pułap sięgający dwóch tysięcy, a wykonanych operacji – odpowiednio po prawie 200 na rok.

Podsumowując dorobek 37 lat działalności: 31.444 osób skonsultowanych, z czego 3.659 zostało podda-



nych operacjom. W tym czasie w miejscowej manufakturze wytworzono 10.972 protez i aparatów ortopedycznych oraz 6.102 lasek i kul. 711 osób niepełnosprawnych otrzymało trójkołowe rowery – wózki inwalidzkie do poruszania się przy pomocy pracy rąk.

To wszystko udało się zdziałać dzięki rozwijającym stopniowo struktutom. Obecnie MNDP ma dwie duże parcele w centrum miasta, gdzie znajduje się szpital z salą operacyjną, administracją i warsztatami, a w drugiej części – mieszkania dla rodzin opiekujących się hospitalizowanymi, sale do rehabilitacji i reedukacji pooperacyjnej oraz sale dla różnego rodzaju formacji. Do tego trzeba wspomnieć o filiach kliniki istniejących w głównych miastach południa: w Kello, Doba i Lai. Na co dzień pracuje w tych ośrodkach około 30 osób.



Trzy razy do roku odbywają się „sesje” chirurgiczne. Przyjeżdżają wtedy z Francji lub Hiszpanii lekarze specjaliści z ich personelem pomocniczym (około 25 osób w ciągu roku), by w ramach wolontariatu, przez okres dwóch tygodni, wykonać serię operacji i zabiegów.

Żeby to wszystko mogło funkcjonować, roczny budżet MNDP zamyka się sumą 175 mln tutejszych franków (to w przeliczeniu 265 tys. euro). I ten „biały szaman” brat Michel rok w rok potrafi takie pieniądze zdobyć! Lata pracy i kontaktów z masą ludzi dobrej woli w Europie i za oceanem owocują. Sama klinika MNDP potrafi wypracować jedynie 15% własnych środków. Reszta musi przyjść z zewnątrz, od dobrodziejów. Nie będzie żadnym nadużyciem, jeśli stwierdzę, że państwo Czad nie daje żadnej dotacji na tę działalność. Katolicka telewizja francuska KTO nakręciła o bracie Michelu film „Dobry Samarytanin” – tytułu komentować nie trzeba.

Brat Michel sam teraz chodzi o kulach. Widząc zbliżający się zachód swojego życia, przed dziesięciu laty gestie swego dzieła przekazał kapitule Kustodii Braci Mniejszych Kapucynów Czad – RSA i bracia przyjęli to dzieło jako swoje.

Żeby nie wydawało się, że wszystko jest tak piękne i różowe, trzeba wspomnieć o poważnym kryzysie, jaki dotknął MNDP. Gdy Michel ustąpił z racji wieku z funkcji zarządzającego, dyrekcję przekazano innemu bratu z Włoch, Rafaele. Ten sympatyczny i kontaktowy z natury człowiek źle jednak trafił. Zbiegło się to w czasie

z okresem, gdy w Czadzie przez moment zaczynało się dziać lepiej (zaczęły wpływać do skarbu państwa pieniądze ze sprzedaży ropy) i ludzie dostali wszędzie duże podwyżki. Ponad połowa personelu szpitala podjęła wtedy strajk na tle finansowym. Napięta sytuacja była na tyle bolesna, że przypominała kłótnię w rodzinie. To klinika wykształciła personel, wysłała go na formację i zapewniła pracę, a teraz ci sami pracownicy bili karmiącą ich rękę. Ta sytuacja przepychanek i prób porozumienia trwała dobrych parę miesięcy. Sprawy oparły się o wyższe władze kościelne, ministerstwo zdrowia i sądy. Normalne funkcjonowanie zostało później przywrócone, ale ten okres burzy tak napsuł krwi nowemu dyrektorowi, że ów wyjechał do Włoch – po 35 latach pracy na misjach.

Brat Michel pozostał na miejscu. Ma stalowe nerwy czy aż tak kocha swe dziecko? Wspomina tę sytuację w ten sposób: „Każde Boże dzieło musi przejść przez okres prób i kryzysu, by doświadczyć oczyszczenia i bardziej się umocnić. Szatan nie znosi widoku dobra”. Dyrekcja placówki od czasu kryzysu przeszła w triumwirat. Trzech czadyjskich braci kapucynów: Francis, Antoine i Olivier (ostatni z nich jest kapłanem) stanęli na czele tej instytucji. Brat Michel jest ich doradcą. Od tego czasu bracia mieszkający w pobliskiej wspólnotie kapucyńskiej w Koutou–Moundou nazywają się „kulawymi”, bo większość z nich, na czele z bratem Michele, pracuje dla MNDP.



Szpital przetrwał. Ważne, aby powiedzieć, że nawet w najcięższym okresie protestów część personelu pozostała lojalna i nie porzuciła posługi chorym. Nawet wtedy zdołano przeprowadzić sesje chirurgiczne i dzieło pomocy kalekim nie zostało sparaliżowane.

Był czas, gdy MNDP obchodził trzydziestolecie swe go istnienia – wtedy brat Michel zbierał pochwały, nagrody i odznaczenia. Przyszedł teraz czas starości i obaw, czy dzieło jego życia przetrwa próbę czasu. Wydaje się, że tak. A ów kryzys może miał na celu, by właśnie przyspieszyć moment przekazania odpowiedzialności z rąk białych misjonarzy w ręce ich czarnych współbraci. Wypada wierzyć, że nasi młodszy afrykańscy bracia sprostają zadaniu, i życzyć im jeszcze lepszego zaszczepienia na ich rodzinnej ziemi dzieła przyniesionego przez innych.

br. Robert Wieczorek OFMCap



Natura kobiety afrykańskiej

opowiada br. Jerzy Steliga OFM Cap



Kiedy w rodzinie afrykańskiej rodzi się dziecko, ten fakt wywołuje wielką radość w domu i w sąsiedztwie. Gdy na świat przychodzi syn, duma rozpiera ojca, bo to gwarancja na kontynuację linii rodowej. Narodziny dziewczynki też w sumie nie są złe, bo to zawsze kolejne ręce do pracy i w pewnym sensie oznaka zamożności. Przy narodzinach dziewczynki tradycyjnie mówi się w języku sango: „Nginza a ga na peko” – „pieniądze idą za nią”. Stwierdzenie to związane jest ze zwyczajem płacenia przez chłopaka rodzicom dziewczyny konkretnej sumy pieniędzy za ich zgodę na zamążpójście córki. Można powiedzieć, że narodziny córki w rodzinie afrykańskiej nie przynoszą uciążliwych skutków, tak jak to ma miejsce np. w Indiach. Większa ilość córek w rodzinie hinduskiej to poważny problem dla rodziców, gdyż to oni mają znaleźć pieniądze na wiano dla córki i konkretną sumę pieniędzy przekazać rodzinie przyszłego męża. Niemożność wydania córki za mąż ze względów finansowych to hańba dla rodziny. Jeden z misjonarzy kanadyjskich, który wcześniej pracował 19 lat w Indiach, opowiedział mi historię sąsiada misji. Miał on już pięć córek, a żona była w stanie błogosławionym. Przez całą ciążę miał tylko jedno w głowie, aby to kolejne dziecko nie było dziewczynką. Pewnego poranka przyszedł na misję zrozpaczony. Alain, misjonarz, pomyślał, że jego żona urodziła martwe dziecko. Jak się okazało, powodem zmartwienia były narodziny kolejnej dziewczynki.

W licznej rodzinie afrykańskiej starsze dzieci opiekują się swoim młodszym rodzeństwem. Niewiele co większa dziewczynka nosi na plecach swoją siostrzyczkę czy bratka.



Podczas Mszy św. takie „opiekunki” wielokrotnie zanoszą dziecko mamie do karmienia, które odbywa się na miejscu w ławce. Małe dziewczynki w wieku 3 - 5 lat pragną naśladować swoje mamy lub starsze siostry i bawią się w „noszenie dzidziusia na plecach”. Nie potrzeba do tego nawet lalki, bo takiej przecież nie mają. Wystarczy zawiązać chustę na piersiach a pod nią na plecy włożyć zwinięty kłębek jakiegoś ubrania. To wysmienita zabawa małych dziewczynek, a duma i radość bije wtedy z twarzy dziecka. To po prostu trzeba zobaczyć. Oprócz pilnowania rodzeństwa, mała dziewczynka pomaga mamie we wszystkich pracach gospodarczych. Zawsze rano, jeszcze przed świtem, jest rytuał zamykania obejścia wokół domu, następnie przyniesienie wody na mycie i gotowanie herbaty na śniadanie. Do obowiązków córek należy też zmywanie naczyń po jedzeniu. Małe dziewczynki pomagają również w przygotowaniu posiłku. Ich podstawowym zajęciem jest ubijanie na mąkę w dużym drewnianym moździerzu ziarna sorga lub bulwy manioku. Ta praca wymaga od nich dużego wysiłku. Wiem co mówię, bo sam czasami, dla zabawy, przebywając pośród nich próbowałem tego zajęcia.

W Czadzie słyszałem o inicjacji dziewczynek w przygotowanie posiłku. Około dziesięcioletnia dziewczynka ma przygotować sobie i swojemu rodzeństwu posiłek. Od początku do końca robi wszystko sama. Posiłek składa się z ugotowanej na gęsto kluski z mąki manioku oraz sosu. Najpierw dziewczynka idzie do buszu zebrać suche drewno pod kuchnię, którą tworzą trzy w miarę równe kamienie. Na tej kuchni odbywa się całe gotowanie, trzeba też pilnować ognia, żeby nie zgasł podsuwając drwa pod garnek. Dziewczynka musi przynieść wodę



ze studni, która oddalona jest od domostwa czasami kilkadziesiąt metrów. Rozmładzić w moździerzu sorgo lub maniok na mąkę. Wcześniej musi zakupić na targu najpotrzebniejsze produkty do zrobienia sosu: sól, olej, cebulę, kilka małych kostek maggi, ewentualnie przecier pomidorowy i masło orzechowe, które produkuje się na miejscu z orzeszków ziemnych. Sos może być warzywny lub mięsny, zależy od zasobności kieszeni. Dokładnie wiem co dodaje się do tych sosów, gdyż wielokrotnie robiłem zakupy do kuchni na różne sesje czy spotkania grup organizowane w parafii. Dziewczynka gotuje sos i kluskę z mąki. Aby zrobić kluskę wsypuje mąkę na gotującą się wodę, ciągle mieszając zagęszcza potrawę aż do uzyskania konsystencji ciasta. Na koniec podaje posiłek rodzeństwu.



Pomijając fakt warunków gotowania czy składników z jakich przyrządzany jest posiłek, zastanawiam się, czy nasze polskie 10-cio letnie dziewczynki byłyby w stanie przygotować i podać posiłek swojemu młodszemu rodzeństwu? Wszystkie chodzą do szkoły i mają mnóstwo wiadomości, ale czy poradziłyby sobie z taką prozaiczną codzienną czynnością?

Jeśli chodzi o zagadnienie potrzeby edukacji szkolnej dziewczyn, pojawia się pierwsze i podstawowe pytanie: Po co??? Przecież każda z nich w przyszłości ma zostać żoną, rodzic i wychowywać dzieci, uprawiać pole, zajmować się gospodarstwem domowym. Czy do tego jest potrzebna znajomość pisania i czytania? Taki sposób myślenia można w pewnym sensie zrozumieć, gdyż nie ma wielkich perspektyw znalezienia innej pracy dla dziewczyny, jak ta, o której wspomniałem powyżej. Jeśli w danej miejscowości jest ośrodek zdrowia to może znaleźć pracę jako położna, ale już nie jako pielęgniarka. To stanowisko najczęściej zajmują mężczyźni. Kobieta może być opiekunką w przedszkolu, ale nie nauczycielką w szkole. To wiąże się najczęściej z wykształceniem, ale przede wszystkim kobieta rodzi non stop kolejne dzieci, a tego nie da się pogodzić z pracą zawodową. Procent dziewczyn uczących się w szkole maleje na kolejnych etapach edukacji. W podstawówce jest ich jeszcze stosunkowo dużo. W gimnazjach i szkole średniej o wiele

mniej, a na studiach zaledwie kilka procent. Aby zmienić tę niekorzystną sytuację, niektóre misje prowadzą szkoły podstawowe jedynie dla dziewcząt. Cieszą się one dużą popularnością. W naszej diecezji Bouar siostry franciszkanki prowadzą jedyne w kraju gimnazjum techniczne dla dziewcząt. Jednorazowo może pobierać tam naukę około stu dziewcząt z wymogiem zakwaterowania w internacie szkolnym. Ta szkoła zapewnia wysoki poziom nauczania i przygotowania do życia. Oprócz przedmiotów typowo szkolnych są zajęcia z higieny, prawidłowego macierzyństwa, przygotowanie kuchenne, dietetyka, podstawy szydełkowania, krawiectwo i inne. Niestety na tę szkołę nie mogą sobie pozwolić dziewczyny z ubogich rodzin, ze względu na wysokie czesne. Z naszej parafii kilka dziewczyn rozpoczęło tę szkołę przy wsparciu finansowym z naszej strony lub siostr zakonnych. Niewiele jednak z nich ją skończyło z powodu słabych wyników w nauce. Dziewczyny, które nie radziły sobie z nauką w tym gimnazjum wracając do szkół państwowych w swoich wioskach najczęściej były najlepsze w klasie i to nawet przed chłopakami. To świadczy jak niski jest poziom nauczania w szkołach państwowych.

W jaki sposób nastolatka, która nie chodzi do szkoły lub młoda niezamężna kobieta zdobywa pieniądze na swoje utrzymanie? Prawie wszystkie w wioskach uprawiają swoje pola i sprzedają płody rolne na targu. Niektóre prowadzą przydrożne garkuchnie. Zarabiają szczególnie w dzień targowy, bo wtedy zjawia się mnóstwo ludzi z okolicznych miejscowości. W tych kuchniach ser-



wuje się najczęściej gęstą zupę, pieczony maniok i w sezonie pieczoną kukurydzę. W tygodniu robi się pączki z mąki pszennej smażone na oleju. Niekoniecznie są one na słodko. Aby je sprzedać na śniadanie trzeba zabrać się za ich przygotowanie o czwartej rano. Kobiety robią też masło arachidowe, kulki z orzeszków lub sezamu sklejone karmelizowanym cukrem. Przy okazji targu dobrze sprzedaje się piwo z sorga robione domowym sposobem, warzone w dużych (200 l) beczkach po paliwie. Smak tego napoju w niczym nie przypomina smaku tradycyjnego piwa, jednak posiada trochę procentów, które pozwalają przynajmniej na chwilę rozweselić trudne życie Afrykańczyków. Niektóre z kobiet prowadzą na targu drobny handel produktami codziennego użytku niezbędnymi do kuchni, jak również mydłem, naftą do lamp, itp. Te które nauczyły się robić na drutach dorabiają sobie dziergając małe komplety ubrań dla niemowląt włącznie z czapeczką i „botkami”.



Kiedy w życiu dziewczyny rozpoczyna się okres dojrzewania i wybucha burza hormonów zaczyna robić wszystko, aby swoim zachowaniem zwrócić na siebie uwagę płci przeciwnej. Jednak najbardziej przyciąga uwagę swoim ubiorem.

Zakłada lokalną biżuterię: kolczyki, wisiorki, koralki lub bransolety na przeguby rąk. Zakłada też okulary przeciwsłoneczne lub obojętnie jakie jej się dostaną. Dopelnieniem stroju kobiecego są fryzury, które czasami przez kilka godzin są misternie zaplatane. Niektóre kobiety noszą peruki dla ozdoby. Imitują one włosy

zaplecione w cieniutkie warkoczyki przylegające do skóry. Na większe imprezy kupują perfumy o mocnym zapachu, kremy i różnego rodzaju małowidła, które najczęściej wytwarzane są z barwników roślinnych. I na to wszystko, jak się domyślamy, potrzebne są pieniądze, których w warunkach afrykańskich ciągle brakuje, nawet na podstawowe utrzymanie. Niektóre dziewczyny czy kobiety robią naprawdę duże wyrzeczenia, aby zdobyć upragnione ciuchy i kosmetyki. Inne, aby zdobyć pieniądze, bezmyślnie wyprzedają produkty rolne, a później rodzina cierpi głód. Zapożyczają się łatwo, byle tylko pięknie wyglądać podczas święta. Jeżeli te wszystkie sposoby pozyskania środków zawiodą albo ich w ogóle nie zastosują, to nawet te najcnotliwsze dziewczyny i najwierniejsze żony prostytuują się, aby dopiąć zamierzonego celu. Zresztą cnota i wierność są tam nieco inaczej rozumiane niż w naszym chrześcijańskim ujęciu. Walory stroju i urody można pokazać na cotygodniowym targu i na niedzielnej Mszy św. Są to ważne miejsca publiczne, gdzie gromadzi się wiele osób.

Szczególne momenty spotkań dużej ilości ludzi mają miejsce podczas świąt narodowych. Odbývają się wtedy defilady, coś w stylu naszych pochodów pierwszomajowych, a po nich tańce z dużą ilością alkoholu i jedzenia. Większość mężczyzn nastawia się podczas takich imprez na zdobycie kobiecych serc, a tak mówiąc wprost, bardziej na zdobycie kobiecych ciał. One niby o tym nie myślą, jednak łatwo się na to godzą. Przyrost naturalny po takich imprezach powiększa się w szybkim tempie i niejednokrotnie dziecko urodzone po 9 miesiącach od takiego święta jest zaskakująco podobne do sąsiada. Drugim ważnym miejscem spotkania się ludzi z różnych wiosek i odpowiedniego zaprezentowania, jest corocznie organizowana w parafiach „conference” – „konferencja”. Jest to trzydniowe spotkanie przedstawicieli wszystkich wspólnot należących do parafii, które potrafi zgromadzić nawet do dwóch tysięcy osób. Jest ono wielkim wydarzeniem duchowym i organizacyjnym dla całej parafii. Można powiedzieć, że jest to spotkanie porównywalne do naszych misji parafialnych. Zgromadzenie odbywa się w jednej wybranej wiosce, gdzie wszyscy uczestnicy nocują. Przy tej okazji są wieczorne tańce przeciągające się do późnych godzin nocnych. Nazajutrz młodzież na konferencjach przysypia, albo w ogóle nie przychodzi. Motyw uczestnictwa niektórych młodych w tych spotkaniach jest więc bardziej ludzki niż duchowy, co jest niczym zaskakującym, bo istnieje wszędzie.

Przedstawiłem tutaj tylko pewien wycinek życia współczesnej kobiety afrykańskiej, który miałem okazję zaobserwować w RŚA i Czadzie. Cała rzeczywistość jest z pewnością o wiele bogatsza i wielowątkowa, a dla człowieka białego w wielu przypadkach okryta tajemnicą. Trzeba przyznać, że kobiety afrykańskie pomimo napotykaných trudności, dzięki wrodzonym zdolnościom i kobiecej zaradności dzielnie radzą sobie w codziennym życiu.

br. Jerzy Steliga OFMCap



Bezdroża Serca Afryki

pisze br. Robert Wieczorek OFM Cap



Rok temu, dzięki wsparciu MIVA Polska, każdy katechista z mej parafii otrzymał rower. Łącznie 34 osoby. Prosił mnie o przekazanie podziękowań dla dobrodziejów, które teraz powtarzam przy okazji pisania tego tekstu: „Singila, singila mingi na ala kwe!” (Dzięki, dzięki Wam wielkie!) Są wdzięczni za takie opatrnościowe wsparcie. Ja natomiast w pierwszą sobotę każdego miesiąca odprawiam Mszę świętą w intencji naszych anonimowych dobrodziejów. Niech dobry Bóg będzie uwielbiony w sercach życzliwych ludzi.

Jednoślady – rowery i motory – królują na drogach Republiki Środkowoafrykańskiej, bo w dzisiejszych warunkach to one często gwarantują szybszą i pewniejszą jazdę niż samochód. Umownie nazywa się „drogami” miejsca, po których ludzie przyzwyczaili się przemieszczać, ale one nie mają już wiele wspólnego z tym, co to słowo miałoby oznaczać. Spychacz czy traktor do przecierania laterytowej powierzchni drogi po raz ostatni był w naszym regionie widziany jakieś piętnaście lat temu (za ten czas mamy już czwartego prezydenta i przeżyliśmy dwie wojny domowe), stąd też, jak powiedział na forum publicznym jeden z kandydatów na prezydenta, „drogi na prowincji praktycznie nie istnieją”. Gdy jest wojna, na zajmowanie się takimi drobiazgami, jak naprawa tras komunikacyjnych, czasu nie ma.

To, po czym się teraz jeździ, to kamienisty szlak porany głębokimi bruzdami. Kanały odpływowe, wytyczone niegdyś przez budowniczych dróg, zarosły już dawno trawą i krzewami, a leżąc o jakiś metr czy dwa od obecnego szlaku, należą już do ekosystemu buszu. Taka niepoprawiana na bieżąco droga przybiera w przekroju formę litery W, gdyż ruch samochodów wytyczył pośrodku dwie koleiny. Po paru latach zaniedbania te

pierwotnie niewinne zagłębienia, równoległe do rowów odpływowych po brzegach, same przejmują ich funkcję. Woda jest bez litości. Konsekwentnie płynie tam, gdzie jest niżej, i wykopany parę metrów rów przestaje ją obchodzić.

W efekcie rozjeżdżone szlaki komunikacyjne to ślalom między kamieniami, których w tym górskim terenie nie brakuje, a kępami wysokiej na dwa metry trawy, której zechciało się wyrosnąć akurat pośrodku drogi. W trakcie jazdy trzeba kombinować, jak ominąć krzyżujące się w beładzie bruzdy i odnaleźć kawałek przyzwoitego traktu. Do tego, wraz z nastaniem pory mokrej, niewielkie z początku kałuże zamieniają się stopniowo w spore połacie błota. Przejeżdżające tamtędy parę razy dziennie ciężarówki dopełniają swym tonażem reszty spustoszenia, pozostawiając po sobie koleiny głębokie na metr i więcej. Do tego - dla podwyższenia atrakcyjności miejsca - zalane żółtą wodą. Lepiej nie próbować tam wytrzymałości swego samochodu, nawet jeśli się ma napęd na cztery koła. Po parokrotnym takim „nurkowaniu rozpoznawczym” serdecznie odradzam.

Taka konkurencja może się wydać atrakcyjna dla miłośników ekstremalnych sportów i samochodów terenowych. Owszem, dostarcza nieco adrenaliny i emocji w zmaganiach z naturą. Ale tak na dłuższą metę, gdy trzeba tu żyć i pracować na stałe, każdy przejazd po takiej drodze staje się bardzo niebezpieczny.

Motor - zbawiciel

Jednoślad stał się środkiem transportu paradoksalnie szybszym niż samochód, bo zwinnie przemyka „po górach, dolinach”, zostawiając auta z tyłu. Oczywiście przed deszczem nie ochroni jak szoferka ani tony cementu nie przewiezie – jak toyota Land Cruiser. Choć z tym ostatnim można by polemizować, bo tutejsi posiadacze motorów dokonują cudów i potrafią za swoimi plecami załadować na motor całą „ścianę” towaru. Obrazkiem często widywanym na drogach jest opatulony w solidną kurtkę, czapkę, w rękawicach i okularach motocyklista, który siedzi na baku, z kierownicą prawie między nogami, i wpatrzony w wąską ścieżkę wytyczoną przez swych poprzedników, zdaje się nic sobie nie robić z tego, co zostawia po bokach. A za sobą ciągnie paręset kilo spiętrzonego bagażu. Może to być dwustulitrowa beczka benzyny, położona symetrycznie na boku i spięta gumą, a do tego na niej przytroczone jeszcze inne przeróżne przedmioty. Inny potrafi wziąć dwa nowe motory (jeszcze w kartonach), z pięć czy sześć osób, 3 lub 4 worki prosa, albo „góre” ciuchów, zwiniętych w ko-





losalny tłumok, czy też „ścianę” bidonów. Wszystko po to, by uniknąć pustego przebiegu. Pocięta w paski stara dętka jest najlepszym w świecie środkiem do ustabilizowania przewożonych ciężarów. Tak obciążonego przewoźnika praktycznie z tyłu nie widać.



Najistotniejszym problemem jest, by utrzymać się w pionie. Nie daj Boże, by się gdzieś nadto przechylić! Wtedy ta spiętrzona za plecami „masa dóbr wszelakich” ściągnie kierowcę na ziemię i bywa przykro. Jeśli jednak przewoźnik i jego pojazd wyjdą z tej przygody cało, wtedy muszą czekać na opatrnościową pomocną rękę, by ktoś z przechodniów zechciał pomóc na nowo się zapakować. I życzliwych nie brakuje – ludzie pomogą. Każda z takich „motorowych ciężarówek” jest obowiązkowo zaopatrzona w solidny kołek. Jeśli już trzeba się gdzieś zatrzymać, taki kawał drewna służy za nogę do podparcia załadowanego na dwa metry w pionie motoru.

Ktoś spyta: a jak na taki widok reaguje policja? Otóż – nie reaguje! Bo żadnej drogówki tu nie ma, a jeżeli już na rogatkach miasta znajdzie się jakiś mundurowy na barierze, to interesuje go jedynie pobranie „formalności” (pieniężnych), a nie żadna troska o bezpieczeństwo ruchu... Sami użytkownicy dróg w tej szerokości geograficznej nie mają najczęściej nawet cienia pojęcia o istnieniu kodeksu drogowego. Co tam kodeks! Nawet zasady prawej ręki nie respektują! Jedyne, co wiedzą, to, że większy ma pierwszeństwo; mniejszemu pozostaje jedynie uciekać w busz, jeśli przestrzeni drogowej braknie dla obydwu. I nikogo nie dziwi, jeśli kierowca motoru wyprzedza z prawej strony. Widocznie akurat tak mu pasowało, tam znalazł więcej miejsca.

Zmotoryzowany western

Najbardziej intratną formą zarobku jest handel motocyklami. Mieszkamy tu na północno-zachodnim krańcu RŚA, blisko granicy z Kamerunem. Z kolei jego terytorium staje się coraz węższe, im bardziej na północ (stąd zwane jest „Kaczym Dziobem”), i do Nigerii jest relatywnie niedaleko. A tam wiadomo – „afrykańska Ameryka”, wielki, ludny kraj i produkuje się wszystko. Towar oznaczony „made in Nigeria” nie stanowi bynajmniej gwarancji jakości, ale za to ceny ma przystępne. Nowy motor „normalnej” marki można kupić za 700 euro, a używany nawet i za 300. A na taki wydatek już stać przeciętnego Środkowoafrykańczyka. Stąd autentyczny boom na

motory – może i „podróbki”, z pewnością bez papierów, gwarancji, rejestracji czy uregulowanych opłat, ale się jeździ. I w dzisiejszych warunkach, gdy stan dróg jest bardziej niż opłakany, to opatrnościowa zmiana, alternatywa dla mało przydatnych i nielicznych samochodów. Motocykl to wybawca prostego ludu z piętrzących się obecnie trudności w transporcie.

Dzięki temu kwitnie wspomniany przed chwilą handel. Tyle, że to już bardziej skomplikowana praca: trzeba się zorganizować w korporacje. Takiej dalekiej jazdy nie da się ryzykować w pojedynkę. Jeździ się kawalkadą, jeden za drugim, i na dochodzenie – jadący na przodzie i rozpoznający drogę co pewien czas się zmieniają. W razie problemów współnicy zatrzymają się i pomogą. Ale przede wszystkim chodzi o bezpieczeństwo – kupi nikt nie ruszy. Taka grupa 5-8 handlarzy, wiozących ze sobą po dwa nowe motory każdy, to łakomy kąsek dla bandytów. Gdy wojna domowa jeszcze na dobre nie wygasła i kraj „nierządem stoi”, incydentów, nawet śmiertelnych, nie brakuje. Nie ma się co oszukiwać: decydujący się na taką formę zarobku muszą być zdeterminowani. Narażenie życia na poważne niebezpieczeństwo jest w kalkulowane w koszty. I nie tylko czyhający w krzakach rabusie są uzbrojeni – motocykliści też. Jeżdżąc, starają się więc zmieniać drogę i unikać głównych szlaków, na ile się da, bo też i spotkanie z praworządymi stróżami porządku wcale nie musi się miło skończyć. O samych motorowych przewoźnikach mówi się w skrócie „clandos” (od „clandestin”, czyli potajemny), bo to praktyka z pogranicza kontrabandy. Wobec braku konkretnych regulacji prawnych i wszechobecnej korupcji nie sposób ocenić, czy to biznes, czy też bardziej przemysł.

Taka jazda na długie dystanse jest wyczerpująca fizycznie, nie mówiąc już o stresie (trzy granice i około 1500 km w jedną stronę). Odsprzedany szczęśliwie w Bangui (stolicy kraju) towar przynosi zysk rozdzielany następnie przez szefa kawalkady. Oczywiście szef zbiera większą część, bo i na nim ciąży organizacja całej eskapady. Za kilka dni fatygi, zwykły członek takiej grupy dostaje równowartość 50-70 euro. Tak mało? Tyle zarabia w RŚA nauczyciel za miesiąc pracy... Nie jest więc tak źle. Za ową sumę kupuje hurtem intratny towar z Konga (Zairu), np. kolorowe buty, pożądane przez kobiety na północy, i z tym wraca do domu, robiąc już plany na następny wyskok.

Jest w tym coś z wciągającego hazardu. Istnieje jeszcze ciemniejsza strona tej rzeczywistości. By pokonać stres i sprostać trudom podróży, młodzi często odurzają się tramolem. To taki tutejszy „Red Bull” – lek znieczulający, tyle że w pomnożonej dziesięciokrotnie dawce. Są przy tym ofiarami głębokiego przekonania, że trzeba dodatkowo wziąć u czarownika yoro, czyli „zaszczepić się na powodzenie”. Taki neo-pogański zwyczaj spotęgowany halucynogenami: mieszanka – wzajemnie potęgujących się – chemii we krwi i czarów pod czaszką. Nie trudno się domyśleć, że taka „jazda bez trzymanki”, odlot na bazie adrenaliny i środków odurzających, kończy się dla delikwenta zwykle szybciej i tragiczniej, niż zaplanował.



Dla sprawiedliwości jednak muszę uzupełnić, że nie musi tak być we wszystkich przypadkach. Akurat niedawno pojawił się u mnie w biurze młody parafianin, którego znam od dawna z kościoła, wiem też, że zajął się handlem motorami i jeździ stale na linii Nigeria – Bangui. Nie wygląda na ćpuna ani na „zaszczepionego”. Ostatnio powiększył dom, dzieci chodzą do szkoły. Przyniósł mi swą dziesięcinę, okazałą sumę pieniędzy „na potrzeby wspólnoty, bo Pan Bóg mu pobłogosławił...”. Rzeczywistość ta musi być więc bardziej skomplikowana, niż się wydaje, i mieć różne odcienie...

Wypadki i przypadki

Przynajmniej raz w tygodniu zwożą do naszego misyjnego ośrodka zdrowia ludzi pokiereszowanych w wyniku wypadku na motorze. Dzisiaj sam takich znalazłem na drodze – 20 km od Ndim. Typowy przypadek: dwóch mężczyzn na motorze, kobieta z paroletnim dzieckiem i kilka tobołków. Koło południa spadł intensywny deszcz, który ja przeczekalem w odnawianej obecnie kaplicy w Kowone. Ale oni się śpieszyli, bo z Paoua do Mbaiboum droga daleka (150 km) i nawet nie dotarli do jej połowy. Patrząc, motor w błocie na środku drogi, a motorzysta zwija się z bólu na poboczu. Pokiereszowany pojazd powierzamy ludziom we wsi na przechowanie, a rannemu usztywniam nogę za pomocą kijów i gumy, i ładuję go z jego towarzyszem na pakę mojego samochodu, by jechać do naszego szpitala po pomoc. W kabinie kobieta podróżująca z dzieckiem pokazuje mi łydkę, którą podczas wywrotki dotkliwie oparzyła o rurę wydechową. W Ndim, po udzieleniu pierwszej pomocy, motorzystę ze skrzyconym kolanem odesłano z powrotem do Paoua, do szpitala, a pozostali podjęli przerwana podróż. Bilans ofiar wypadków nieraz prezentuje się o wiele gorzej.

Jak dotąd, mówiąc o tragicznym stanie dróg, nie wspominałem o mostach. Te są prawdziwą zimą. Różnej długości, przerzucone nad ciekami wody i strumieniami, zbudowane są najczęściej z czterech żelaznych szyn w formie H (postawionego bokiem) na kamiennej podmurówce. Do tego przykręca się belki drewniane – najpierw w poprzek, potem wzdłuż, i jazda. Tyle, że przez lata, drewno zdążyło spróchnieć i teraz kładzie się pod koła co popadnie – byle jechać naprzód. Okoliczni mieszkańcy organizują się, by położyć wycięte w buszu

gałęzie, mające ok. 10 cm grubości, siłą rzeczy niezbyt regularne i najczęściej nieokorowane, więc jest to materia bardzo niestała pod nogami. Bywa że zdobędą się na narzucenie na górę warstwy gliniastej ziemi. Dopóty deszcz jej nie wypłucze i dopóki ciężar przejeżdżających pojazdów jej nie wykruszy, jest to rozwiązanie bardzo pomocne w pokonywaniu przeszkody.



Jeżeli szyna nośna na moście zostanie wygięta przez ciężarówkę, która nie obrała właściwego kierunku i zawisła lub spadła, to nie ma wyjścia – trzeba zrobić obok tzw. dewiację, czyli objazd. Brzegi tutejszych górskich cieków wodnych są najczęściej dość strome, więc przystosowanie ich do przeprawy wpraw dla samochodów nie jest takie proste. Wymaga to od zmobilizowanych na tę okazję okolicznych ludzi żmudnej dłubaniny łopatami i łomami oraz dorzucenia kamieni i drewna w miejscach, gdzie podłoże może sprawiać problemy dla kół. Najistotniejsze w tym wszystkim dla pracujących tam jest postawienie bariery i perswadowanie przejeżdżnym, jak to ich praca jest ważna, a więc trzeba im zapłacić – co też się wiąże z pozostawieniem drobnych „na kawę”.

Gdy taka ciężarówka zawisnie, albo jeszcze gorzej – spadnie całkiem i zdewastuje most, przejazd jest zablokowany przynajmniej na kilka dni. Nie można w takim wypadku liczyć na żadne „siły drogowe”. Na prowincji pozostaje jedynie ludzka solidarność. Póki wieść o zablokowanej drodze nie rozprzestrzeni się wystarczająco daleko, na miejsce korka zjeżdżają się nieświadome pułapki kolejne samochody. To ich honor i żywotny interes zarazem, by wspomóc uwięzionego nieszczęśnika i wybawić go z opresji. I tu jest popis dla afrykańskiej pomysłowości i zaradności: jak przy pomocy „prawie niczego” wyciągnąć ręcznie samochód z dziury. Przy okazji takich prac, trwających kilka dni, organizuje się obok życia obozowe – jakieś słomiane zadaszenie dla ochrony przed słońcem i deszczem, rozpięty brezent nad paroma tonami towaru rozładowanego z samochodu, który utknął, coś się gotuje na ognisku, ktoś coś sprzedaje, opodal gra muzyka dla rozprężenia i dodania animuszu. Słowem – wioskowy harmider. Życie się toczy...

Dziesięć dni temu sam grałem główną rolę w takiej scenie. Wybrałem się z dwoma murarzami do Nzoro, by dokończyć rozgrzebaną tam od dawna robotę przy





wykończeniu nowej szkoły. Na pace toyoty był cement, drzwi, rusztowania – pełny załadunek. Po 15 km dotarliśmy do mostku, którego niestabilność poznałem już wcześniej, podczas objazdu wielkanocnego wiosek na północy. Byłem tam wtedy w towarzystwie mych braci Zenka i Tomka oraz gościa, świeckiej wolontariuszki Gosi z Maigaro. W drodze powrotnej drewniane kłody leżące luzem na żelaznych szynach spiętrzyły się pod kołami i trzeba nam było układać je na nowo, a potem wypychać zaklinowany nieco samochód.

Teraz więc, pamiętając wcześniejsze doświadczenie, zabrałem się za przejazd ostrożnie – włączyłem napęd na cztery koła i przejeżdżałem na jedyńce. Ale na nic cała przewencja. Było po nocnym deszczu i powtórzyła się poprzednia historia, tyle że w gorszym wydaniu: obłe belki ześlizgnęły się na bok, a kilka całkiem spadło z mostu. Jeszcze moment – i wiszę w powietrzu lewym tylnym kołem (a prawie ledwie się trzyma na krawędzi drugiej szyny). I po robocie! Można sobie planować... Teraz jedyna troska to, jak się stąd wydostać. Całe szczęście, że przynajmniej nic się nie złamało i samochód jest w porządku – stwierdzam, schodząc pod most i oglądając podwozie od spodu.



Z moimi murarzami i jeszcze jednym życzliwym parafianinem, który akurat przejeżdżał tamtędy na rowerze, bierzemy się za próbę podniesienia koła na poziom żelaznych szyn. Za pomocą podnośnika i kłód spod mostu prawie udaje się nam tego dokonać po dwóch godzinach prób i błędów. W międzyczasie na prowizorycznym objeździe obok dzieją się inne scenki. Najpierw wypychamy toyotę DRC (pozarządowa organizacja humanitarna), bo kierowca, mimo że prawie zatarł dysk od sprzęgła i nakopcił niemiłosiernie spalinami, to i tak utknął w błocie, mocno rozkopując przy tym brzeg podjazdu. Moje deski, wiezione na pace samochodu na budowę, świetnie nadają się na podkład dla uwieczonych w błocie kół. Udaje się go uwolnić.

Co pewien czas nadjeżdża obładowany ponad miarę motocykl. Wypchać taki balast pod górę wymaga wspólnego wysiłku 6 - 7 mężczyzn, ale radzą sobie. Pojawia się też żona katechisty z Ndim z córką, wracającą ze szkoły w Ngaoundaye. Dziewczyna jest po chorobie Heine-Medina i próbuje o kulach na swych usztywnionych nogach przejść sama przez strumień. Nie udaje jej się

– zwinny chłopak bierze ją „na barana” i wynosi na górę. Zbierają się i jadą dalej. W mej opresji pociesza mnie też siostra Pasterzanka Ania, Polka z Ngaoundaye. Rano wybrała się na motorze w sprawach projektu dożywiania dzieci do Ndim i mieliśmy się spotkać po moim powrocie. Ona już załatwiła swoje i wraca, a ja tu utknąłem w dziurze...

Przed południem pojawiają się z przeciwnej strony dwie ciężarówki. Jeśli chcą jechać dalej, muszą mi pomóc wydostać się z pułapki – to ich żywotny interes. Nie oglądają się na nic i biorą żwawo do roboty. Mają ze sobą duże podnośniki i obwoźne belki drewna na wypadek, gdyby ich brakło na jakimś moście. Wtedy sami urządzą sobie przejazd, a po pokonaniu przeszkody, zbierają i odjeżdżają, pozostawiając dziurę dla następnych... Ale teraz przyszedł czas na solidarność podróżników. Po pół godzinie stoję już na pewnym gruncie, uratowany z opresji mogę odpalić i wyjechać. Wycofuję – nie ma głupich! Jeśli przejechałbym przez tymczasowo naprawiony most i pojechałbym dalej z materiałem na budowę, to jak potem wrócę do domu? Przybyłbym w międzyczasie ludziom z Nzoro mówię: póki nie naprawicie tego przejazdu, nie będzie roboty w szkole. (Tydzień później dostaję meldunek: most naprawiony! To też i budowa na nowo ruszyła...)

Bezradność

Pomagający mi przy wydostaniu się z dziury kierowca ciężarówki Abdel zachęca mnie do „negocjacji”: myśli o podjęciu starań, by uzyskać gdzieś pomoc na naprawę mostów. Ja odbijam piłkę na jego stronę: – To wy, kierowcy, powinniście się organizować, żeby naprawić drogi, bo od tego zależy ruch w waszym interesie! – Owszem – odpowiada – zrobiliśmy składkę i złożyliśmy ją u szefa regionu, ale nasze pieniądze gdzieś się rozplynęły...

I tak tu jest. Wszyscy na drogach cierpią, ale nikt nie ma siły, albo dobrej woli, by się nimi konkretnie zająć. Struktury państwa są zbyt słabe, po wyborach ledwie podnoszą się z upadku, prezydent i rząd są daleko, w stolicy Bangui. Do tego nasz region w wyborach popierał A. Droguele, który przegrał w drugiej turze z obecnym prezydentem, F. Tuadera, więc nie ma co liczyć, żeby ten był tak wielkoduszny i zainteresował się drogami na terytorium, które było mu nieprzychylnie. Jak długo żyję w RSA (ponad 20 lat), to jeszcze nie słyszałem, żeby jakaś terenowa administracja uwolniła środki i sfinansowała naprawę drogi czy mostu na swym terenie. Nasz szef regionu w Ngaoundaye, wychodząc ze swego biura (jeśli w ogóle w nim bywa), może rzucić okiem na lewo i zobaczyć bezkresne błota na drodze w pobliskiej wsi Makele. W porze mokrej dzieją się tam dantejskie sceny. Perspektywa konieczności przedarcia się przez to bajoro spędza sen z powiek temu, kto jest zmuszony ruszyć się w tamtą stronę. Ale to nie problem dla władz lokalnych!

We wcześniejszych latach, gdy moi włoscy współbracia byli młodszy i mieli więcej wigoru, a do tego i środków

finansowych, zdecydowali się nieraz, by pomóc i naprawić most czy nawieźć kamieni na zatkanie dziur w drodze. I otrzymywali oczywiście gromkie okłaski. Po czasie okazało się jednak, że ta faktyczna pomoc (pokazanie, że się da) utwierdzało tylko urzędników lokalnych samorządów w instytucjonalnej niemocy. W efekcie panuje powszechna opinia: jak misja katolicka tego nie robi, to nikt się nie ruszy.

Teraz więc, gdy zgłaszają się do mnie pomysłodawcy z propozycjami typu: „Weźmiemy się i... zrobisz”, to odpowiadam: – Mogę coś zrobić dla kogoś, ale nie za kogoś. Zorganizujcie się wy, najpierw na poziomie gminy czy powiatu, a potem przyjdźcie do mnie, a ja dołożę do tego moją rękę. Ale do was należy pierwszy ruch!

I tak schodzi. Pojawiały się parę razy zwiastuny zmiany w tym skostnieniu, lecz równie szybko gdzieś się ulotniły. Dostałem efemeryczne obietnice ze strony PAM (WFP – Światowy Program Wyżywienia), że rozpoczną projekt o nazwie „wyżywienie za pracę”. Idea ogólnie jest taka, że ludzie podejmują się jakiejś pracy dla dobra wspólnego, a organizacja PAM dostarcza im na tę okazję jedzenie, czasem też narzędzia pracy. Chodzi o wsparcie lokalnych inicjatyw, ale nie o najmowanie robotników czy zapłatę im. Ludzi gotowych pójść na ten układ jest dość, bo wielu ma fundamentalne poczucie dobra wspólnego. Tak więc opracowaliśmy projekt proponujący naprawę dróg własnymi siłami, bo nie ma co marzyć, że ktoś pojawi się nagle z ciężkim sprzętem i zrobi nam prezent w postaci naprawionych i przejezdnych dróg. Od dwóch lat ponawiamy prośby w PAM – i nic. Najpierw obietnice, próbne daty i faktury pro forma, a potem odroczenia, by się dowiedzieć w końcu, że nic z tego, że może w następnym roku... Instytucje ONZ-

owskie pięknie prezentują się na filmach o Afryce: tam, gdzie zaczyna się jakiś kryzys humanitarny, oni (HCR i PAM) już tam są! W praktyce jednak to są powolne i ociężałe instytucje i zanim taka się ruszy i coś konkretnego zrobi, szkoda czasu.

Wspomniany już niedoszedł prezydent, Anicet Doroquele, obiecał w ramach kampanii wyborczej pomóc w naprawie mostów w całym regionie. Pojeździliśmy po okolicy, policzyliśmy, pomierzyliśmy, porobiliśmy zdjęcia, by mu przesłać całą dokumentację. Gdy był w Ndim, potwierdził, że duży transport drewna jedzie do Bocara. Prosił o nasze wsparcie w pracach. Przyrzekłem ze strony misji pomoc, bo mam warsztat z różnymi narzędziami, przenośnym agregatem, spawarką, stolarnią, a także ludzi – mechanika, cieśle. Ale cóż, choć na południe od nas naprawiono parę mostów, o robocie u nas – cisza. A deszcze się wzmagają i drogi niszczą coraz bardziej... W międzyczasie pojawiło się tu kilka innych organizacji pozarządowych z ich inicjatywami, nieraz dziwnymi, czasem wchodzącymi sobie wzajemnie w drogę. Proponuję im: macie ludzi przygotowanych, dysponujecie środkami transportu i pieniędzmi, drewno jest na składzie – zbierzmy się razem i zrobmy coś dobrego! Na to oni: ah, jeśli to jest drewno od pana Doroquele, to my nie możemy go tknąć, bo nie wolno nam się mieszać do polityki...

No to się nie mieszajcie, ugrzęźnicie w błocie na objazdach pod zrujnowanymi mostami! By żyć w Afryce, trzeba nabyć dużo cierpliwości i nauczyć się czekać. Słyszałem tu takie powiedzenie: co masz zrobić dzisiaj, odłóż na jutro – wtedy zyskasz kolejny wolny dzień... Coś w tym jest. Z Bogiem!

br. Robert Wieczorek OFMCap z Ndim

Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Wspieraj misje swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

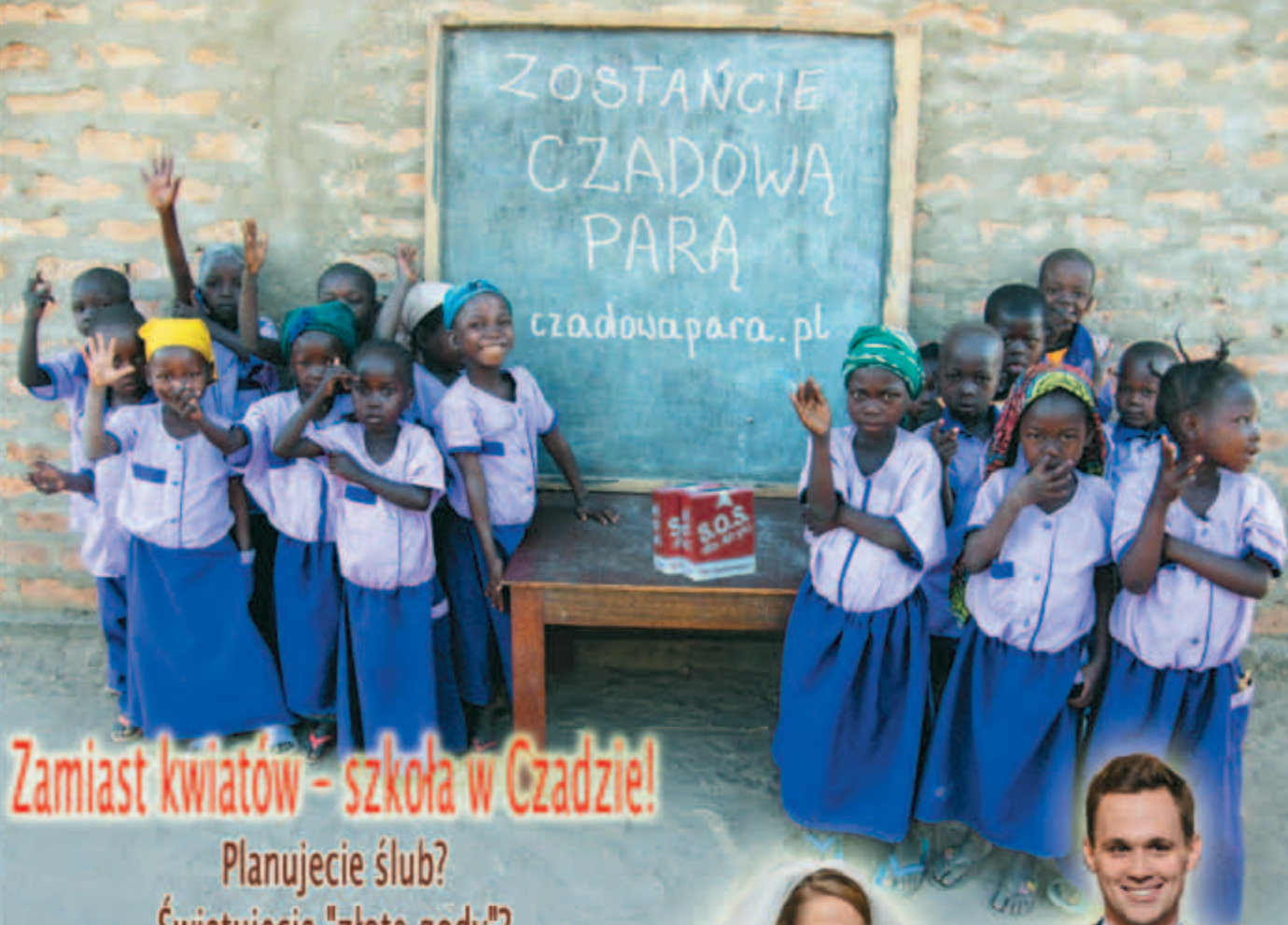
Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFMCap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5 000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 3102165





Zamiast kwiatów - szkoła w Czadzie!

Planujecie ślub?
Świętujecie "złote gody"?
Obchodzicie imieniny?

Poproście Waszych gości o nieprzynoszenie kwiatów na Waszą uroczystość. W zamian niech złożą ofiarę do puszek misyjnej. Kwiaty zwiędną szybko, a Wasz dobry uczynek pozostanie.

Z przekazanych pieniędzy misjonarze kapucyni sfinansują edukację swoich podopiecznych. W ten sposób, bez ponoszenia żadnych kosztów i bez wysiłku, pomożecie najbardziej potrzebującym dzieciom w Afryce. Dacie im szansę na to, by nauczyć się czytać i pisać. Dacie im nadzieję na lepsze życie.

Za Wasz dar, misjonarz zrobi specjalnie dla Was, oryginalne zdjęcie z imiennym podziękowaniem od dzieci z Czadu.

Zostańcie Czadową Parą

www.czadowapara.pl
czadowapara@kapucyni.pl

fol. K. Chudy